

O KRZYŻACH PRZYDROŻNYCH i WIELKIEJ ZARAZIE ROKU 1852 SŁOWAMI JÓZEFA SIKORSKIEGO

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Widok krzyży zwykle drewnianych, czasem metalowych, rzadziej kamiennych był zjawiskiem codziennym szczególnie dla osób wychowanych przed kilkudziesięciu laty na prowincji. Te drewniane, często pochylone, pokryte mchem niczym patyną, na których doskonale było widać upływ czasu, przyciągały chyba największą uwagę dziecka, kryjąc w sobie jakąś tajemnicę, którą być może mogliby rozwikłać najstarsi, ale w natłoku innych bardziej atrakcyjnych zajęć, jak choćby gra w piłkę, czy zabawa w wojnę, maluch szybko o tej tajemnicy zapominał... kogo zresztą interesowały gawędy staruszków? Inna sprawa, że te wynurzenia były często zwykłymi bajdurzeniami, bo każdy staruszek inaczej zapamiętał to, co przed wieloma dziesiątkami lat opowiedzieli dziadkowie, tym z kolei też się nieco pomieszało to, co usłyszeli od swoich dawno zmarłych krewnych. Prawie każde z takich miejsc zdążyło przez dekady obrosnąć przeróżnymi legendami, ludowymi podaniami, ktoś przy takim krzyżu coś cudaczno zobaczył, inny coś dziwnego usłyszał, przekazywał swe rewelacje dalej, a co drugi słuchacz, coś do tej historii od siebie dodał i tak powstawała klechda. Od momentu, gdy po szynach poczęły pędzić buchające parą potwory, nad głowami przelatywały latające maszyny, a na drogach pojawiły się automobile, klechdy odarte zostały ze swojego czaru. Jeździec bez głowy nie wytrzymał konkurencji ufoludków, stając się kompletną ramotą od momentu telewizyjnej transmisji z lądowania na księżycu.

Większość z widzianych w dzieciństwie krzyży ostatecznie po latach upadła, inne zostały usunięte, gdyż przeszkadzały w poszerzeniu drogi czy wzniesieniu budynku. Już w roku 1902 r. pisał Zygmunt Gloger o potrzebie szacunku dla tego rodzaju sztuki ludowej: „Stare te zabytki wiejskiej sztuki i budownictwa giną z rokiem każdym i przyjdą czasy, w których z powodu samej starości zanikną zupełnie. Dopóki więc istnieją tu i ówdzie, choć nie zawsze piękne lub ciekawe, ale zawsze dające obraz miejscowej kultury, powinny być ołówkiem lub fotografią odtworzone i zebrane z całego kraju”¹. Dwadzieścia lat później powtórzył te słowa znany publicysta i działacz społeczny: „Kapliczki i krzyże przydrożne nie mają szczęścia. Co roku giną niszczone, a nie ma nikogo, kto by pozostałe ostatki ochraniał, nawoływał do ratunku, kto by szczątki zebrał, zrysował i w ten sposób ocalił od zupełnej zagłady. W niektórych okolicach istny szal niszczenia zapanował, to też na wielkich połaciach Polski do rzadkości muzealnej należy krzyż i kapliczka oryginalna, na które patrzyliśmy w dzieciństwie, o których wieść żyje w pamięci”².

Gdzieniegdzie tylko pozostały ostańce, które jakby na przekór cywilizacji, psują według wielu krajobraz, świadcząc o naszym zacofaniu. Te mazowieckie i podlaskie, zazwyczaj nie były zresztą tak fantazyjne, bogato zdobione, jak np. w górskich rejonach kraju: „Na Podlasiu krzyże

¹ Zygmunt Gloger, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, Warszawa 1972, t. 3, s. 3.

² Jan Wiktor, *Kapliczki i krzyże przydrożne*, „Orli Lot” 1922, nr 4, s. 50.

bez napisów, gdzie bądź wznoszone, pokutne w swej prostej, surowej formie, a tak pełne wyrazu, potęgi, jak krzyże Chrystusowe dźwigane na barkach ludu polskiego, tak pełne rozpacz, jak człowiek w męce skamieniały i wyciągający ramiona z wołaniem o pomstę”³.

Wiele zastąpiono krzyżami nowoczesnymi, wykonanymi z trwalszego niż drewno materiału. Te piękne, lśniąco nowe, wykonywane na zamówienie, a często wręcz taśmowo krzyże, choćby nawet zostały podświetlone laserami, pozbawione są jednak uroku i nie ma w nich choćby ślęba tajemnicy. Zapewne w tym pozbawionym charakteru i nastroju miejscu nie zbierze się już nigdy grupka osób starszych, by zgodnie z pradawnym zwyczajem wznosić swe modlitwy, błagania, dziękczynienia ku niebu. Będzie tu sterylne i cicho nawet w maju.

Autor opublikowanego poniżej szkicu, pięknym językiem opisał cel, w jakim wiele z tych krzyży stawiano, więc pomnę to zagadnienie. Wspomnieć jednak wypada, że autor szczególnie dużo miejsca poświęcił krzyżom stawianym dla ochrony przed nawrotem zarazy, ku pamięci jej ofiar, a zarazem będących wyrazem dziękczynienia, że plaga nie przybrała apokaliptycznych rozmiarów. W formie opowieści snutej wnukom przez dziadka twórca szkicu opowiada o zarazie roku 1852. Wyrazisty, pełen grozy, nieepatujący jednakowoż okrutnymi obrazami opis, koresponduje z zamieszczoną na tych łamach opowieścią [*Lata 1846-1856 nad Bugiem – głód, choroby, zarazy*](#). Artykuł w „Bibliotece Warszawskiej” został wprawdzie podpisany inicjałami J. S., ale chodzi prawie na pewno o Józefa Sikorskiego, urodzonego w 1813 r. krytyka muzycznego, prywatnego ucznia Józefa Elsnera, świadka organowych improwizacji Chopina, powstańca listopadowego. Od roku 1843 pisywał m.in. do „Biblioteki Warszawskiej”. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych prowadził poszukiwania zabytków muzyki polskiej m.in. w zbiorach kapituły w Łowiczu i u benedyktynów w Pułtusku⁴. Być może to w którejś z tych miejscowości lub w jej okolicach przeżył dwa straszne miesiące plagi, która odcisnęła na zawsze piętno w jego pamięci, jako klęska o wiele straszniejsza od wojny, a to z tej racji, że nawet dzielny żołnierz czuł się wobec niej całkowicie bezsilny. Wspominał: „Lekarze niektórzy legli ofiarą swojego poświęcenia, drudzy upadali pod ciężarem znużenia, a byli i tacy, co pobiegli ukryć się w najbardziej oddalone zakątki. [...] Słudzy uciekali od panów i porzucali ich w najgroźniejszych chwilach. Niewiele troszczono się o ratunek lekarski, ale i pociechy duchowej nie zawsze można było dostąpić, bo już to, że i kapłanów jednych opanowała i zwyciężyła trwoga, innych dosięgła choroba. Umierających nie otaczało grono zapłakane rodziny i przyjaciół, ani ten święty i spokojny żal, jaki zwykle towarzyszy takim chwilom: trwoga, choroba albo rozpacz rozpraszały wszystkich od łoża śmierci”.

Bojaźń opanowała nie tylko ludzi, ale i zwierzęta: „Ptactwo nawet jakimś nieodgadnionym instynktem natury wiedzione, zniknęło z miejsc chorobą dotkniętych. Wróbel tak nawykły jednej strzechy pilnować, wrona najczęstszy gość i najpilniejszy sprzątac małych miasteczek odleciały i znikły tak, że nikt ich nie ujrzał, a to spostrzeżenie na wielu innych miejscach zrobiono”.

Paniczny strach potęgowały przekazy: o dziwnych, ognistych znakach na niebie i ziemi; o przedmiotach martwych, które nagle ożywały; o przemierzających trakty miasta i wioski straszliwych siewcach zarazy...

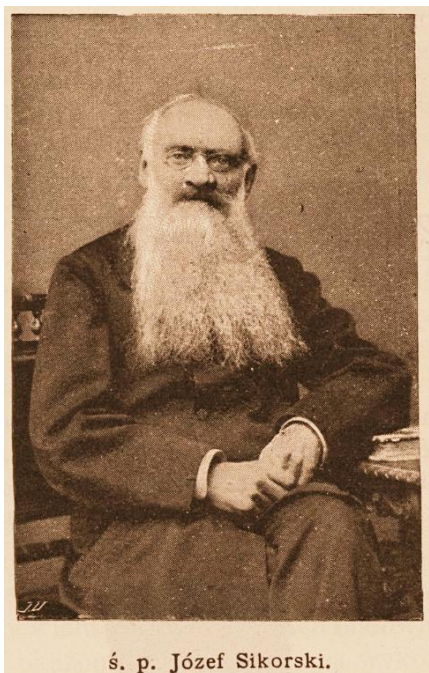
³ Tamże, s. 52.

⁴ Sikorski, Józef – *biogram i literatura*, na portalu Polska Biblioteka Muzyczna polskabibliotekamuzyczna.pl.

KRZYŻ NAD DROGĄ
(Z księgi szkiców i fragmentów)
przez J. S.

Kiedy jeszcze dzieckiem prawie byłem, widok krzyża nad drogą budził we mnie jakieś sympatyczne uczucie. Nie pojmowałem wówczas wielkiego znaczenia, jakie w sobie zawiera. Nie domyślałem się jeszcze, że ten krzyż drewniany, często mchem starości pokryty i pochylony, pełen prostoty jak życie i umysł naszego ludu, skromny jak jego zasoby, ku wysokościom nieba wzniesiony jak jego wiara, mieści w sobie tak głęboką myśl religijną, symboliczną, pamiątkową i poetyczną. Nie domyślałem się tego wszystkiego, a jednak widok jego rodził we mnie jakieś silne, choć nieokreślone wrażenie. Był to instynkt dziecięcy, przeczucie pobożne, coś z mlekiem wyssanego z chrześcijańskiej piersi matki.

Z wiekiem, z dojrzałością myśli i wiary, ten instynkt przestał być instynktem, przeczucie przeczuciem – instynkt i przeczucie ustąpiły miejsca przekonaniu i wierze. Ten krzyż drewniany, który mnie tak często spotyka pod wsią, na rozdrożach, na zagięciu drogi, wśród wsi częstokroć, witam zawsze z miłym uczuciem, ale obok tego ze wzniesieniem ducha i ukorzeniem myśli. Schylam przed nim ze czcią głowę jak przed znakiem wiary, jak przed pomnikiem nieszczęść i klęsk ogólnych, jak przed znakiem odwołania się do opieki Opatrzności we wszystkich strapieniach pojedynczych i rodzinnych, jak przed aktem dziękczynienia i pokory, które w tej skromnej formie szukały i znalazły swoje wyrażenie, jak przed najprostszą postacią myśli pobożnej ludu, objawem uczuć, które w głębi serca nosi, znakiem połączenia między niebem i ziemią. Jak wreszcie przed upostaciowionym aktem strzelistym do Stwórcy i dawcy wszystkiego od wdzięcznego i pobożnego narodu.



ś. p. Józef Sikorski.

Józef Sikorski⁵.

⁵ „Tygodnik Ilustrowany”, nr 19 z 9 maja 1896 r., s. 377.

Tym jest teraz dla mnie krzyż przy drodze. W tej myśli schylam przed nim głowę i z przyjemnością patrzę, jak wszyscy u nas tą samą myślą wiedzeni, korzą się przed tym tak częstym, a zawsze tak pełnym myśli znakiem. Im prostszy, tym więcej do mnie przemawia, im sędziwszy i więcej przez wpływ czasu omechniały i pochylony, tym do dawniejszych czasów, wydarzeń i wspomnień myśl moją odnosi. W swojej prostocie tak dobrze godzi on się ze wszystkim, co go otacza: z prostym widokiem pól zbożowych, ze słomianymi strzechami mieszkańców, z ich ubóstwem! Prosty jego materiał jest jedynym pospolitym płodem naszej leśnej ziemi. Prosta jego budowa, jak prosty smak i ukształcenie [ukształtowanie duchowe, wychowanie, wykształcenie] tych, co go wznoszą i co się przed nim korzą. Tym dziwniej, że obok całej swej prostoty to samo wrażenie robi na umyśle, sercu i wyobraźni, jak wspaniałe dzieła sztuki w tym samym duchu wzniesione. W swoim ubóstwie, prostocie i obnażeniu ze sztuki, świadczy on pięknie, że naród jakiś może mieć niewykształcone uczucie piękności, może być nieuposażony w zasoby materialne, a obok tego może posiadać to, co jest najwyższym skarbem – to jest bogactwo ducha. Gdzie to jest, tam jest wszystko. Dostatki mogą przypląć ze zbiegiem stosunków i okoliczności, uczucie piękności może się obudzić ukształceniem, mogą się podnieść sztuki i kunszty, a wtenczas i forma wytlumaczenia swych myśli, wydoskonali się i uszlachetni: geniusz sztukmistrza uchwyci myśl narodową; dźwigną się pomniki wspaniałe ku czci Bożej, powstaną wzniosłe arcydzieła. Gdzie tego nie masz, najpiękniejsze pomysły nie dojrzeją i nie urzeczywistnią się, najszczytniejsze dzieła pójdą w poniewierkę, upadną i rozsypią się. Patrząc więc na ten krzyż drewniany jako na objaw, na promień ducha religijnego ludu, widzę w nim jeszcze źródło, z którego może wypłynąć rzeka chrześcijańskiego ukształcenia, zarodek, z którego może powstać kiedyś wspaniała budowa sztuki narodowo-religijnej.



Krzyż z dwoma poprzeczkami, czyli krzyż pandemiczny zwany karawaką. Został postawiony w Kaczkowie Nowym, w roku 1942, w związku z szalejącą wówczas epidemią tyfusu. Zastąpiony w 2022 krzyżem metalowym. Fot. Jadwiga Sadowska.

Kiedy więc nieraz powolnie posuwałem się po naszych piaszczystych i błotnistych drogach, tak wiele dających czasu i sposobności do medytacji, a krzyże drewniane to sędziwe, pochylone i omechniałe, to świeże, proste i jaśniejące farbami, miały mnie po kolei. Lubiłem badać ich początek, epokę ich wzniesienia, myśl i przyczynę ich budowy. Ale to niełatwo przychodzi: napisy na drzewie prędko się zacierają i niszczą, nie wszędzie je nawet kładą, a często są nieznaczące. Można więc tylko odgadywać już to po miejscu, już to po wieku, już to po zwyczaju i okolicznościach, przy jakich krzyże zwykle u nas stawiają, początek i przyczynę jednych, a innych znaczenia szukać w świeżej pamięci ludzi albo tradycji. I tak tu wśród wsi stał niegdyś kościół, upadł z czasem, a w upadku ogólnym nie miał go kto podźwignąć. Ale miejsce poświęcone nie mogło ulec poniewierce i zapomnieniu – naznaczono je znakiem krzyża. Postawiony w miejscu, gdzie stała świątynia, służy on teraz do wznoszenia myśli, ukorzenia i modlitwy. Z upadkiem kościoła nie zgasła myśl pobożna ludu, tylko w prostszej postaci strzela od ziemi do nieba.

Ten inny krzyż na drodze ku wsi z kościołem i cmentarzem parafialnym, ma smutne przeznaczenie i wiele bolesnych unosi na sobie pamiątek. Ile razy ktoś we wsi umrze, wszyscy krewni, znajomi, przyjaciele odprowadzają trumnę jego dotąd. Jest to stacja rzewna i niejedną łzą zmoczona. To miejsce ostatniego pożegnania ze swoimi i z gniazdem rodzinnym. I starca, i niemowlę, i męża w sile wieku, i dziewczę pełne świeżości i nadziei, nieraz już przewieziono tędy do miejsca wiecznego spoczynku. Tutaj się zawsze zatrzymał orszak pogrzebowy, tu odmówiono ostatnie modlitwy, tu ostatnie westchnienie i pożegnanie poruszyło piersi otaczających; tłum pogrzebowy pozostał w miejscu, a najbliżsi tylko odprowadzili ciało na cmentarz. Na wieleż to ten krzyż patrzył tych smutnych konduktów! Wieleż to boleści, smutku pod nim się rozlało? Wieleż westchnień gorących i modlitw poniósł na sobie ku niebu? Od niepamiętnych czasów osłania swoimi ramionami ten ciągle powtarzający się, a zawsze dla tych osób bolesny obrzęd. Wszystkie boleści przyjmuje, wszystkim modlitwom jest pośrednikiem, we wszystkie zbolące serca zlewa pocieszenie, otuchę i uspokojenie.



Nieistniejąca już karawaka w wiosce Sumiężne wystawiona w tym samym czasie i tej samej intencji co krzyż w Kaczkowie Nowym. Fot. Michał Zalewski, 2007.

Źródło: *Silesiacum* silesiacum.pl.

Wśród cichego pola na rozdrożu czerni się znowu krzyż pochylony, którego nikt nie myśli podźwignąć. Wieść głucha niesie, że tu kiedyś, bardzo już dawno temu, jakaś odbyła się potyczka. Kto? Z kim? – nikt nie wie. Ciała pobitych pogrzebano w tym miejscu, a ziemię krwią chrześcijańską zmoczoną, uczczono tym świętym znakiem. Jeżeli krzyż ze starości upadnie, to i podanie o potyczce i poległych przebrzmi i pójdzie w zapomnienie, kość tylko kiedyś poruszona pługiem zostanie jedynym świadectwem i całą pamiątką. Ale jeżeli ręka pobożna krzyż podźwignie, wieść się poruszy, pamięć jej nie zaginie, a modlitwa przechodnia wzniesie się do Boga za dusze poległych w boju.



„Jak trwoga to do Boga” – msza polowa żołnierzy Wehrmachtu na kurhanie kryjącym szczątki ofiar nawiedzających Brok epidemii. Fotografiię wykonano w roku 1941, najprawdopodobniej tuż przed atakiem na Niemców na zaprzyjaźnione Sowiety.

Źródło: Archiwum Jacka Frankowskiego.

Dalej ten krzyż, co wznosi się tak czerstwo do góry, to pamiątka jubileuszowa. Tamten pod usuniętą na bok osadą, to znowu bolesna pamiątka wielkiego pomoru na dobytek. Ten, który mijamy, to fundacja skruszonego winowajcy, który w ten sposób chciał oznaczyć swoje opamiętanie i żal za grzechy. Tamten na wzgórku postawili nieszczęśni rodzice po stracie kilkorga dzieci, kiedy już jedno im tylko pozostało i tą ofiarą, i aktem pobożności chcieli ubłagać miłosierdzie Boże dla tej ostatniej swej pociechy na ziemi. Ten inny jeszcze wznosił ktoś, co po zupełnej stracie nadziei życia, powstał jeszcze z długiej niemocy i wrócił do zdrowia. Ten staruszek omechniały i prawie w ziemię zapadły, to pomnik powietrza, które w dawnych czasach te strony nawiedziło. W owych czasach, kiedy wojny liczyły się na długie lata, kiedy niosły ze sobą zniszczenie, pożogę i rabunki, a pozostawiały za sobą głód, zwyczajnego poprzednika powietrza. Kiedy się czytało nieraz w kronikach opis tej klęski: przestachu i trwogi, jakie niosła przed sobą; gwałtowności i wściekłości, z jaką dotykała i zabijała dotkniętych; spustoszenia, jakie zostawiała za sobą, zdawało się nam, że już Bóg w

miłosierdziu swoim uwolnił ludzkość od podobnych ciosów, że już więcej się nie powtórzą. Niestety, tak nie jest! Patrz na ten świeżo niedawno wzniesiony krzyż, krwawo pomalowany, jak gdyby na znak, z jakim zakrwawionym sercem go budowano. Wyciosany z dębu, jak gdyby ci, co go wznosili, dla jak najodleglejszej chcieli go dochować potomności, a z nim wspomnienie tego, co mu dało początek. Dziś każdy zna jego znaczenie, bo to boleśnie niezatartymi rysami zapisało się w głębi jego duszy, ale powoli wspomnienie minionych nieszczęść tępieje, słabnie i zaciera się. Pamięć starców je jeszcze przechowuje, a ich opowiadania młodzi słuchają z roztargnieniem i już nie powtórzą tego następnym. Bo to tylko, co człowiek sam przeboleł i przecierpiał, wydarzenia, na które własnymi patrzył oczami, głęboko i silnie tkwią w jego pamięci, błyszczą w jego wyobraźni i o takich tylko umie, i lubi mówić swym wnukom. To też kiedyś za lat kilkadziesiąt starzec, świadek naoczny, usiadłszy na polnym kamieniu i wskazując wnukom ten krzyż, który już wówczas pokryje się mchem starości, tak im opowie dzieje i przyczyny jego wzniesienia:

Byłem młody jeszcze, ale właśnie o tej porze życia, kiedy rozum zdolny już pojmuje i rządzić, kiedy uczucie jest silne i większe wrażenia ognistymi głoskami zapisuje w głębi serca swego, kiedy pamięć wreszcie jest najwierniejsza. Pamiętam jak dzisiaj, w początkach maja zaczęto szeptać wśród ludzi, iż w miasteczku o kilka mil odległym szaleje panuje jakaś niedobra choroba, która wielu ludzi sprząta. Zwykle zabiegi około codziennego życia tyle ludziom dają do czynienia, tak odrywają ich od tego, co się dzieje dalej, tak mało jest współczucia dla nieznanym, że niewiele się o to troskano i niewiele nawet dopytywano. Jednakże coraz o tym było głośniejsze, bo coraz więcej ludzi umierało. Niebawem mieszkańcy tegoż miasteczka, a mianowicie Żydzi, zaczęli się po cichu wynosić to w tę, to w ową stronę. Przez uciekających zaszczepiła się i wyszła na jaw choroba w kilku innych i już bliższych miejscach. Jednakże mieszały się jeszcze wątpliwości, co to za choroba, gdyż lekarze nie byli jednego zdania, jedni z nich śmiali się z zarazy, drudzy upominali i doradzali środki ostrożności – tak samo czynili i profani.

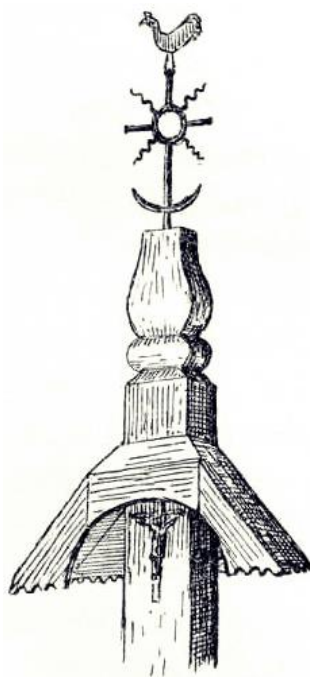
Niedługo jednak te wątpliwości trwały. W dwóch miasteczkach, które stąd widzicie, jedno na prawo, drugie na lewo, zaraz prawie naraz w kilkanaście uderzyła osób, wyższych i niższych klas, zamożnych i ubogich. Wszyscy pomarli, wszelki ratunek okazał się bezskuteczny. Choroba okazała od razu znaki niesłychanej jadowitości i gwałtowności. Kiedy jeszcze i w innych miejscach to samo się powtórzyło, nie było już wątpliwości – słowo cholera przebiegło z ust do ust. Znane już ono było wszystkim, bo przecież kilkakrotnie przebiegła ta plaga nasze wsi i miasta, pozostawiając za sobą wspomnienie srogich spustoszeń i bolesnych dla niejednego serca razów.

Przyciągnęła ze Wschodu, jak te nawały barbarzyńców u schyłku państwa rzymskiego, które wielkie obszary zburzyły, krwią zalały, wyróciły państwa, zatarły mowy, zniszczyły plemiona i nowy porządek zbudowały na gruzach starego. Jak niszczący potok islamizmu, jak ta zaraza, która zniszczyła Ateny, a którą tak wymownie i wspaniale opisuje jeden ze sławnych historyków starożytnych. Jak ta druga, nie mniej okropna, która 100.000 ludzi porwała w kilku miesiącach we Florencji, a którą pamiętanym, choć okropnym obrazem unieśmiertelnił autor Dekameronu. Tak i ta mówię klęska, przyciągnęła ze Wschodu, tej odwiecznej kolebki plemion europejskich, wiar, wielkich wstrząśnień i moru. Jak huragan przeciągnęła po różnych strefach, narodach, klimatach, ale niebawem znikła. U nas tylko ponowiła się jeszcze dwa razy.

Po trzykroć więc już wszyscy pamiętali cholere, ale nigdy ona takiej jak teraz nie wzbudziła trwogi. Poprzednimi razy zjawiała się powolnie: jedne miejsca opuszczała, drugie napadała; trzymała się ludu biednego, źle żywionego i źle odzianego; mieszkań wilgotnych, niezdrowych przez swoje ścieśnienie, przepełnienie ludźmi lub przez samo położenie. Poprzednimi razy więcej chorych powracało do zdrowia, a zetknięcie z nimi nie było tak zgubne. Teraz choroba ukazała się od pierwszego wstępu: we wszystkich klasach społeczeństwa; na miejscach czy wyżej, czy niżej położonych; czy ubogich, czy bogatych; czy ludnych, czy mniej zamieszkałych; uderzała jednakowo i bez różnicy. Okazała się od razu prawie nieprzystępną wszelkiej pomocy i w wysokim stopniu zaraźliwą. Kto zdołał wydobyć się z jej objęć, wpadał w tyfus równie śmiertelny, jak tamta.

Groźna więc ta sama z siebie choroba, tym była groźniejszą, że szła owinięta straszną tajemnicą, bo nikt jej natury, pierwiastku, przyczyn, sposobów chronienia się odgadnąć nie był w możności. Nikt tej tajemniczej zasłony uchylić nie zdołał. Lekarze wyznawali swoją niewiedzę, a chociaż robili wszystko, co mogli, zbyt częsty brak widoczny skutku wszelkich podawanych środków, odbierał zaufanie i nadzieję.

Jednych uderzała z nagłą i porywała w jednej prawie chwili, a nad drugimi pastwiła się z wolna. Byli też i tacy, których kilkakrotnie napadała i oszczędziwszy raz, zabijała za drugim powrotem. Rozdzierający był sam widok chorych: niebieska bladość, lodowe zimno, które ogarniało całe ciało, srogie skurcze, uczucie jednorazowej choroby i śmierci, które naraz całą nadzieję zabijało. Tym to większe wrażenie robiło na zdrowych. Wielu padało ofiarą trwogi i przerażenia. Srogość dziwaczna, z jaką choroba napadała niektóre rodziny, domy i ulice, tym większą szerzyła obawę. Gdzie jedna osoba została nią dotknięta, tak każdy czuł się już jakby przez anioła śmierciznaczony. Jakoż zdarzało się niekiedy, że rodziny, domy, w krótkim przeciągu czasu znikły. Trwoga, żal, ratunek nagły i męczący, jakieś zgubne miazmaty otaczające umierającego, roznosiły zarazę wkoło, a ta dotykała jednych po drugich. Niekiedy pierwszy dotknięty patrzył na zgon otaczających go i najdroższych sercu jego osób, zanim sam zdołał umrzeć.



Okolice Goniądza: „Dawny krzyż drewniany typu niegdyś pospolitego”⁶. Rysunek z roku 1865.

⁶ Zygmunt Gloger, dz. cyt., t. 3, s. 108.

Zwątpienie więc i trwoga ogarnęły umysły, ale jak to zwykle się dzieje, niejednakowo działały na wszystkich. Jedni porzuciwszy wszystko: obowiązki, fortunę, dom, zatrudnienia, poczęli uciekać z miast, w których wyłącznie dotąd grasowała epidemia. Ale i ci nie zawsze uciekli tym sposobem przed nią. Dosięgała ich często w podróży lub w miejscu, które uważali za bezpieczniejsze – jak gdyby na dowód, że wszędzie dosięgnie prawica Boża i nigdzie przed nią uchronić się nie można. Umierali więc, a ich ucieczka i śmierć roznosiły zarazę wokoło. Drudzy zamknęli się i zerwali stosunki z ludźmi. Odosobnieni, skryci, o wszystkich zapomnieli, wszystkich się lękali. Ani przyjaźń, ani wdzięczność, ani obowiązki nie były dosyć mocnymi, aby ich wyprowadzić z kryjówek. W samotności i bezczynności unikali wrażeń, jakie wywierał widok zarazy i strasznych obrazów, jakie nastroczała. Ale nie uniknęli tej okropnej gry wyobraźni, która właśnie w takich położeniach najgwałtowniej działać poczyną. Inni wreszcie, najslabsi, całkiem ulegli wpływowi trwogi, a ta zupełnie nad nimi zapanowała. Nieprzytomni, bezwładni, z oczami obłąkanymi, nic nie widzieli, nic nie słyszeli naokoło siebie, tylko jęk rozpacz i śmierć. Ścigały ich one w ich ukryciu i samotności, włosy podnosiły na ich głowach, krew ścinały w żyłach. Nie mogli znaleźć snu, odpoczynku, wytchnienia. Każda łyżka pokarmu zdawała im się zatruta, każdy oddech powietrza zabijający. To oddawali się nieprzytomni modlitwie, to napadał ich płacz i narzekanie. I tak w męce trwogi sroższej, bo dłuższej niż sama choroba, żyli tak długo, dopóki ucieczka w miejsce bezpieczniejsze, śmierć albo ustanie zarazy nie położyły końca ich cierpieniom.

Jak trwoga rozmaicie działa na umysły, tak też różne, wedle odrębnych sposobów zapatrywania się na rzeczy i skłonności, obierano środki zachowania się i sposoby życia. Byli tacy, którzy w niczym nie zmienili zwykłego jego trybu, w umiarkowaniu znajdując największy środek ochrony, ograniczyli się tylko w rodzaju i ilości napojów i pokarmów, unikali zbytku i nadużycia, szukali umiarkowanych rozrywek, nie stronili od towarzystwa i zatrudnieni zwykłych nie zaniedbywali.

Inni przeciwnie, wstrząśnieni w swoich zasadach lub nie mając ich wcale, w trunkach szukali ochrony, siły moralnej i pociechy. Napojem chcieli zalać wynurzającą się i stawającą przed nimi obawę śmierci, a gwałtownymi uciechami, grą i rozpustą chcieli ją zagłuszyć. Stan ich był stanem ciągłego szału, gorączki, rozdrażnienia i właśnie mnożyli w sobie to, przed czym uciec i schronić się na próżno pragnęli. Bo jeżeli ten stan ich, nasuwał im chwilami i dwoił obrazy wesole i śmiejące, to za to również dwoił i powiększał jak każdy szal, jak każda gorączka, wrażenia okropne i bolesne, skoro te raz stanęły przed ich oczami lub w ich umyśle. Tych też najczęściej uderzała zaraza i najczęściej stawali się jej pastwą.

Lekarze niektórzy legli ofiarą swojego poświęcenia, drudzy upadali pod ciężarem znużenia, a byli i tacy, co pobiegli ukryć się w najbardziej oddalone zakątki. Bezwładność i osłupienie, skutek niezwykłego stanu widać było wszędzie. Ręce opadały wszystkim: zatrudnienia zwykle były po większej części zawieszone; handel i rzemiosła świętowały; popęd wszelki do działania osłabł. W domach i familiach to samo się działo: przyszłość, staranie i zabiegi dla niej, zwykle tyle troskliwości budzące, zwalniały lub ustały całkiem. W miejscach dotkniętych zarazą wszystko było w zupełnym rozprzężeniu i nieładzie. Mała kupka odważnych zbierała się koło chorych, aby nieść im ratunek, a i tych jeszcze ubywało w miarę rosnącego niebezpieczeństwa. Słudzy uciekali od panów i porzucali ich w najgroźniejszych chwilach. Niewiele troszczono się o ratunek lekarski, ale i pociechy duchowej nie zawsze można było dostąpić, bo już to, że i kapłanów jednych opanowała i zwyciężyła trwoga, innych dosięgła choroba. Umierających nie otaczało grono zapłakane rodziny i przyjaciół ani ten święty i

spokojny żal, jaki zwykle towarzyszy takim chwilom: trwoga, choroba albo rozpacz rozpraszały wszystkich od łoża śmierci.

Powoli jednak, jak to zwykle bywa w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, pojawili się ludzie z energią i odwagą. Kilku lekarzy, duchownych i urzędników dało wysoki poziom poświęcenia. Znaleźli się dalej ludzie prywatni, którzy bez obowiązku, jedynie z powołania chrześcijańskiego nieśli pomoc, urządzali i zaopatrywali szpitale, odwiedzali chorych, roznosili lekarstwa. Inni, którzy mogli ująć z miejsca niebezpieczeństwa, pozostali w nim umyślnie, aby radą zasilać, przykładem zimnej krwi i rezygnacji dodawać odwagi upadłym na duchu mieszkańcom.

Tymczasem pogrzeby mnożyły się dzień i noc – smutny ten obrzęd powtarzał się bezustannie. Dla złagodzenia wrażenia grozy chciano wzbronić bicia w dzwony podczas pogrzebów, ale ludność oparła się temu, nie chcąc, aby umarli nie byli grzebani bez tej przynajmniej ostatniej formy. Ale i tak straciły one swój charakter. Nikt im prawie nie towarzyszył, były samotne i samotniejsze jeszcze tym swoim osamotnieniem.

Miasteczka dotknięte zarazą stały się puste i milczące – trwoga unosiła się nad nimi. Rzecz szczególna! Ptactwo nawet jakimś nieodgadnionym instynktem natury wiedzione znikło z miejsc chorobą dotkniętych. Wróbel tak nawykły jednej strzechy pilnować, wrona najczęstszy gość i najpilniejszy sprzątaczących małych miasteczek odleciały i znikły tak, że nikt ich nie ujrzał, a to spostrzeżenie na wielu innych miejscach zrobiono. Mało kto z okolicy, chyba gwałtowną koniecznością popchnięty odważył się je odwiedzać. Wiadomości jednak rozchodziły się po okolicy i jak to zwykle bywa, do bajecznych cyfr podnosiły liczbę ofiar. Tym sposobem trwoga roznosiła się wkoło i mnożyła w miarę przesadzonych wiadomości.

Wyobrażenia naszego ludu tak zwykle skłonna do cudowności i poezji potworzyła mnóstwo zjawisk nadzwyczajnych, baśni, które krążyły z ust do ust chciwie chwytane i skwapliwie powtarzane. Jedne dziwne i śmieszne, drugie fantastyczne, inne powtórzeniem tylko były wieści gminnych, które w różnych stronach najodleglejszych kraju, zwykle zjawiają się w takich okolicznościach. Widziano w ciemnych sklepach i piwnicach jakieś niezwykle poruszenia, płąsy i skoki rzeczy z przyrodzenia swego nieruchomych, biernych i od natury na wieczną bezwładność skazanych. Widziano znaki na niebie ogniste, dziwne, nadzwyczajne. Widziano tajemnych, nieznaną kosiarzy ścinających o zachodzie lub wschodzie słońca zboże niedoszące i rozrzucających je z wiatrem. Widziano niewiasty ze skrwawionymi chustami, które wsiadały na wozy przejeżdżających wieśniaków i zsiadały tam, gdzie zaraza miała wybuchnąć. Widziano je także przesyłające podstępnie także krwawego koloru chustę, pod zmyślonymi pozorami, poprzez nieświadomych prostaczków, którzy się tego zlecenia, uwiedzeni podejmowali do miejsc, które chciały dotknąć chorobą. Widziano je uciekające spieszenie z miejsc, gdzie choroba miała ustać. Te i podobne wieści krążyły ciągle pomiędzy ludźmi, trwając, kojąc obawę, lub uśmiech przywołując na usta, stosownie do stopnia ukształcenia, skłonności do fantastyczności i cudów lub łatwowierności słuchających.

Jakież były bolesne chwile, oczekiwania, niepewności, jakieśmy wszyscy wówczas przeżyli, tego nikt wyrazić nie zdoła! Wszelka radość znikła, promień wesołości nie zabłysł na niczyjej twarzy. Kto nie lękał się o siebie (a takich było wielu), lękał się o wszystkich, co mu byli drodzy. Każdy liczył chwile i z niepewnością patrzył przed siebie. Każdy symptom najmniejszy, na który w innych czasach nie zwróciliby uwagi, teraz zdawał się groźnym. Patrzyliśmy na siebie, znajomi, krewni, domownicy jak gdyby chwila, którą wspólnie przepędzamy, była ostatnia. Godziny wspólnego posiłku tak miłe w gronie rodzinnym były nieme prawie. Lękać się trzeba było każdej

łyżki pokarmu, aby nie wniósł ze sobą zatrutego miazmatu. Jeden drugiego ostrzegał, pilnował, doglądał, zaledwie śmieliśmy dar Boży do ust włożyć. Kiedy się wyszło na przechadzkę, by świeżym odetchnąć powietrzem, zdawało się, że każde tchnienie wiatru przyniesie ze sobą tchnienie zarazy. Unikaliśmy się nawzajem, smutek leżał na czołach, każdy czytał go w oczach drugiego i nie chciał go własnym pomnażać – słowa zresztą marły na ustach. W niczym nie można było mieć jakiegś stałej nadziei: ani w sztuce lekarskiej, ani w pośpiechu i energii ratunku, ani w obfitości wszelkich zalecanych środków. Wszystko było niewczesne, bo w kogo uderzyła zaraza, najczęściej chwile jego były już policzone.

W takim oczekiwaniu, w takim zawieszeniu pomiędzy życiem i śmiercią długie przeżyliśmy tygodnie. Zaraza srożyła się po miastach okolicznych, ale niewiele dotknęła jeszcze wsi. Nareszcie wybuchła i po wsiach. Jak ogień, kiedy rozejdzie się po lesie i wszystko wkoło zajmuje, tak na wszystkie strony rozlewała się zaraza i wszystko wkoło obejmowała. Co chwila smutniejsze dochodziły wiadomości, niebezpieczeństwo już nie groziło z daleka, było ono bezpośrednio blisko. Ale Bóg wielki w swoim miłosierdziu, w chwilach największej niedoli przymnaża siłę i odwagi. Z większym męstwem patrzyliśmy oko w oko śmierci, niż kiedyśmy mieli ją z daleka.

Wiele się wydarzyło wypadków rozdzierających, wiele ciosów bolesnych padło, wielu ludzi ze skrwawionym sercem pozostało przy życiu. Co cierpienia, jęków, boleści, żalu, rozpacz, wydarło się przez tę krótką epokę z piersi ludzkiej, tego wam ani mogę, ani chcę opisywać. Czasy te zapisały się w pamięci mojej ognistymi głoskami. Pali mnie ich obraz i nigdy się wrażenie jego nie zmniejszy. Stokroć wolałbym stać w 10 krwawych bitwach. Tam zapal wielki, nagłość śmierci, ruch walczących, popłoch pogromu lub radość zwycięstwa, obszerność sama pola bitwy, odbierają wielką część wrażenia, a o życiu nie masz prawie czasu myśleć. Tutaj w milczeniu bezsilnym patrzeć musiałeś na zdrowych, pełnych życia, jak padali w jednej chwili bez zapalu i bez sławy. Patrzeć musiałeś na jęki rozpacz pozostałych, na ich trwogę, brak nadziei, żal za umarłymi, tak jakbyś był na polu bitwy, gdzie kobiety i niemowlęta stają do walki przeciwko niewidzialnej, a wszystko kruszącej potęgze.

Cała nadzieja zostawała w Bogu, wszystkie myśli i uczucia do niego też się obróciły. W modlitwie każdy szukał pociechy, odwagi i tego wylania swoich wewnętrznych boleści, którymi z nikim podzielić się nie mógł, bo każdy był nimi przepełniony. Wieczorami, po skończonej pracy polnej, zbierało się wszystko, co jeszcze było przy zdrowiu pod krzyżami, figurami lub kapliczkami i wspólnie błagali Boga o zmiłowanie. Głos pieśni nabożnych i lkań rozpacz i skruchy rozchodził się po rosie wśród ciszy wieczornej. Księżyc wznosząc się na sklepienie niebios, oświecał jeszcze nieraz te grupy modlących się. O! Gorąca to była modlitwa. Jakby ostatnia w życiu, tak pełna była skruchy i żalu. Brzemieniem nieszczęścia i boleści przytłoczona, schylała się głowa każda do ziemi w pokorze. Nigdy znikomość człowieka i znikomość rzeczy ludzkich i jego próżnych, a wielkich zabiegów i jego szalonej ambicji, i jego głupiej miłości własnej nie wyszła na wierzch, nie stanęła tak widocznie każdemu na oczach, jak teraz. Nigdy człowiek głębiej i silniej nie czuł tego, że z prochu powstał i lada chwila w proch ma się obrócić. I słusznie, że się modlono gorąco, bo nie dla jednego taka modlitwa była ostatnią. Tak spłynęły przeszło dwa miesiące, a długie jak dwa wieki. Grzebanie umarłych, starania około umierających, ponure wiadomości i pocieszająca modlitwa – oto najważniejsze zajęcia dni naszych z owego czasu.

Powoli choroba zaczęła tracić na swojej gwałtowności. Wypadki stawały się coraz rzadsze, nareszcie w głębokiej jesieni wszystko ucichło. Ale jakby atmosfera cała także dotknięta została niemocą i wyszła ze zwykłego trybu, bo nastąpiła okropna susza. Na ziemię skropioną tyloma łzami nie chciała upaść kropla deszczu. Liście przedwcześnie opadły z drzewa, trawy wyschły, a cały świat przybrał postać zeschłej pustyni, nad którą wisiało blade ołowiane niebo.

O! Straszny jest niekiedy dziaćki moje, objaw skrytych rozrządzeń Boga! Biada tym, od których oblicze swoje odwróci i na których ciosy swoje wymierzy. Oby nigdy podobna klęska nie padła na tę biedną ziemię, oby ani wy, ani wasze wnuki nic podobnego nie dożyły.

To działo się w roku 1852, a na pamiątkę cierpień przebytych, pozostałe niedobitki wzniosły ten krzyż, pod którym siedzimy. Skupiły się w nim tysięczne boleści, tysięczne łzy i tysięczne wspomnienia. Dla mnie com go z innymi wznosił, jest on teraz smutną pamiątką, pobudką skruchy i ukorzenia, i bodźcem do gorącej modlitwy za dusze tych, co wówczas przenieśli się do lepszej wieczności. Ale niemniej ten krzyż jest wyrazem dziękczynienia za cierpienia i okropności, których Bóg nam oszczędził, które od nas odwrócił, których nie dopuścił. Bo choć straszną była klęska, którąśmy przebyli, stokroć większe są w mocy jego i stokroć większe zsyłał już nieraz na ten świat, zawsze ślepy, zawsze pyszny ze swojej mądrości, chociaż stokrotnie upokarzany i przekonywany o swej niedoleżności.

Kiedy później rozczytywać się będziecie w książkach i rozpatrywać w przeszłości, poznacie także sławny obraz zarazy w Atenach, w drugiej księdze Tucydýdesa zamieszczony. Spotkacie tam obrazy, które w okropności o wiele przechodzą to wszystko, co wam dotąd opowiadałem. Tam i zaraza była sroższą i jej skutki nierównie okropniejsze. Bo poprowadziły za sobą prawie zupełne rozprężenie wszystkich węzłów społecznych. Wszystko – opowiada on – ze wsi okolicznych zbiegało do miasta, co pogarszało położenie jego mieszkańców. Brakło mieszkań i schronień. Przybyli, żyli ściśnięci w budach i szałasach, a to w porze upałów. Ginęli tłumami, a umierający zmieszani byli z umarłymi. Chorzy pożerani pragnieniem włoczyli się po ulicach i padali bez życia przy studniach. Świątynie i miejsca poświęcone, na których wznoszono namioty, zaległy były ciałami tych, których śmierć tam uderzyła.



Stary cmentarz w Mińsku Mazowieckim, lata 1915-1918⁷.

⁷ Paul Juckof-Skopau, *Architektonischer Atlas von Polen (Kongress-Polen)*, Berlin : GEA Verlag, 1921, Phot. 181.



Wspomniane przez Józefa Sikorskiego, wykonane w osku, genialne, a zarazem przerażające dzieła, które wyszły spod ręki Gaetano Giulio Zumbo (1656-1701).

W zbiorach Muzeum Historii Naturalnej we Florencji – La Specola.

Źródło: Ms. CVLT, *Corruption and Plague... The Wax Works of Gaetano Zumbo*, na portalu CVLT Nation cvltnation.com.

Niebawem wszyscy nie wiedząc, co począć ze sobą, poczęli tracić wszelkie uszanowanie dla praw Boskich i ludzkich. Obrzędy pogrzebowe zostały zaniedbane, spieszono się uprzętać umarłych, jak kto mógł. W braku środków stosownych kładziono ciała i palono na stosach do kogo innego należących, uprzedzając tych, którzy je przysposobili. Inni w chwili kiedy stosy gorzały, wlekli z pośpiechem i rzucali ciała swoich. Ale gorszy nieład postępował w miarę postępu zarazy. Patrząc, codziennie na zmiany i rewolucje w fortunach, patrząc, codziennie na zgon bogatych, na puścizny [mienie bezdziedziczne] wielkie, jakie brali ubodzy, ośmielał się niejeden puścić otwarcie na zbytki i rozpustę niewidzianą dotąd. Szukano uciech gwałtownych, rozwiąłość najwyuzdańsza w takim życiu od dnia do dnia zajęła miejsce wszelkich innych zatrudnień i wszelkich obowiązków. Wszystko, co uczciwe poszło w poniewierkę, nikt nie wiedział, czy skończy to, co rozpocznie i nic zacnego nie rozpoczynał. Nie wstrzymywały już więcej nikogo ani bojaźń bogów, ani prawa ludzkie. Zdawało się rzeczą obojętną czcić bogów lub o nich nie dbać, kiedy wszystko bez różnicy padało.

Tak mówi Tucydides, a jego piękny opis radzę wam kiedyś przeczytać w całości. Oprócz niego spotkacie jeszcze opisy zarazem piękne, choć równie okropne w Lukrecjusza wielkim poemacie, w „Georgikach” Wirgiliusza, w „Przemianach” Owidiusza. Nad tymi przecież jako nad obrazami poetycznymi, może nie z rzeczywistości brany, może przeciężonymi barwami poezji, zresztą nieodnoszącymi się historycznie do jednego miejsca i czasu, nie będę się zatrzymywał. Ale muszę zwrócić uwagę waszą na opis późniejszy, niemniej sławny, a może piękniejszy od Tucydidesa, na opis świadka naocznego, na opis, któremu wszyscy współcześni przyznają zupełną wartość i podobieństwo, na opis, którego prawda tryska w oczy czytającego z samej jego prostoty – jest to opis zarazy we Florencji, który zostawił Boccaccio w swoim „Dekameronie”.



XV-wieczny drzeworyt do dzieła Boccaccia, ukazujący popularne sposoby na oderwanie myśli od panującej grozy, w czasie epidemii dżumy panującej we Florencji, w roku 1347: uczty, sex i modlitwa.

Podczas gdy mąż pogrążył się w modlitwie, zaproszony na ucztę mnich zabawia się z jego żoną.

Le livre appelé Décaméron (...) de Jehan Boccace. Ms Arsenal 5070, fol.108 v.

Źródło: Kunstdrucke Leinwandbilder, gerahmte Bilder bei Kunst für Alle kaufen kunst-fuer-alle.de.

Kiedy go czytać będziecie, zobaczycie, o ile okropność i srogość zarazy przewyższały to wszystko, czego ja byłem świadkiem naocznym. Zobaczycie, jak i tam, także skutkiem nieszczęścia rozpręgły się więzy społeczne, serce ludzkie zamknęło się przed wszelkim współczuciem i litością, wyzwanie wzięło górę, praw nie miał kto wykonywać, a nikt nie umiał ich szanować. Zobaczycie, jak wstyd znikł w kobietach, a uczucie własności zostało zapomniane; jak śmiechy, okrzyki pijaństwa i weselości sztucznej i szalonej rozlegały się wśród umierających. Jak ludzie w ostatnim wysileniu troskliwości o siebie otaczali się kwiatami, aby ich zapach zabijał odór zgnilizny, rozlany w powietrzu z ciał niepogrzebanych i rozkładających się od upału słonecznego. Zobaczycie tam jeszcze: jak po okolicach miasta, po wsiach i folwarkach, wszystko również popadło w rozprężenie i opuszczenie; jak prace rolne były porzucone, owoce i zboże zostawione na drzewach i polach; jak stada zaniedbane i zostawione własnemu losowi błękały się po polach, po zbożach, bez dozoru i opieki; jak pies nawet, ten najwierniejszy towarzysz człowieka, odbiegł od niego i go porzucił.

O! Wieleż to – mówi, kończąc swój opis Boccaccio – pałaców pysznych, domów obszernych, przed chwilą zapelnionych licznymi i szczęśliwymi rodzinami, pozostało pustką bez panów i sług! Wieleż to rodów znakomitych wygasło. Wieleż to fortun i wielkich spadków pozostało bez dziedzica. Wieleż to mężów zasłużonych, kobiet jaśniejących urodą, młodych ludzi w kwiecie w sile życia, których by Galen, Hipokrates, Eskulap byli mniemali w stanie najzupełniejszego zdrowia, przepędziwszy ranek w kole familijnym albo w gronie przyjaciół, wieczorem przeniosło się na inny świat.

Ale chociaż wielki talentem i wyrazistością jest ten opis zarazy florenckiej, cóż to oddaje opis w słowach? Czy odda on nawet część tych okropności, na które cała natura się wzdryga, które wszystkie zmysły człowieka poruszają i duszę jego wstrząsają do gruntu? Jeżeli was los zaprowadzi kiedyś do Florencji, zobaczycie tam w jednej z sal muzeum, obrazy tejże samej zarazy, podług opisów Boccaccia, nie pędzłem przecież i nie na płótnie, ale w sposób bardziej jeszcze uderzający zmysły, rażący straszną rzeczywistością – są to przedstawienia z wosku, ale z mistrzowską dokładnością i prawdą, i z anatomiczną wiernością dokonane. Stoją one u wejścia i niepodobna je pominąć, a pamięć tych smutnych obrazów, zwłaszcza że ja oglądałem świeżo pod wspomnieniem i wrażeniem niedawno u nas przebytej zarazy, tym głębsze pozostawiła w umyśle moim ślady. Można tam widzieć wszystkie stadia zarazy od jej poczęcia aż do końca: zmiany w kolorze ciała i postaci chorego; wyrażenie jego bóleści; grupy pełne prawdy i okropności jakby przez poetę ułożone w smutne dramaty, rozkład ciał niepogrzebanych od chwili śmierci aż do ostatniego zepsucia. Smutny to i okropny widok!

Było więc u nas Boga, za co dziękować, że chociaż ciężko nas dotknął, od takich okropności przecież uwolnił i zasłonił. Złe nie doszło u nas do tej wysokości i do tych rozmiarów, ani też skutki i następstwa moralne i społeczne nie mogły być tak wielkie i smutne. Chociaż wielu było zasmuconych, wszystko zostało w swoich karbach i porządku. Umysły, zamiast oddalić się od Boga, zwróciły się owszem do niego, modlitwa, zamiast skonać na ustach w trwodze i rozpacz stała się stokroć gorętszą i głębszą, a skrucha większą, równie jak uczucie swej nicości i nicość wszystkiego, co doczesne i ziemskie.

Tak kiedyś świadek naoczny opowie smutną historię tego krzyża, ale my tymczasem spojrzymy jeszcze na ten ostatni, na prawo niedaleko od drogi. Wokoło niego miejsce opustoszone, smutne, z ogrodzeniem niezupełnym, z kilkoma małymi krzyżykami i kilkoma świeżymi grobami – to cmentarz. Zaniedbany, opuszczony, jak większa część naszych

wiejskich cmentarzy. Nie masz tu nagrobków ani kwiatów na grobach, ani nic, co by pamięć jakąś znaczyło o tych, co śpią na tym miejscu wiecznego spoczynku. Kogo zagrzebią, widać w tym ustroniu, ten jest wymazany z pamięci żyjących. Droga zarosła, nie znać ludzkiej stopy, nikt snadź nie chodzi tutaj popłakać na grobie zmarłego, połączyć się z nim myślą w lepszym świecie i posłać za niego modlitwę. Zniszczenie i pustka wszędzie osiadły, wszystko się rozsypuje, niszczy zaniechaniem i upadła. Ludzie widocznie opuścili to miejsce, któremu jednak żaden z nich nie ujdzie. Może by nawet świętokradcza ręka do reszty zburzyła wszystko, ostatni kawałek truchlejącego ogrodzenia uniosła, ostatni rdzewiejący wrzeciąż wyłamała, więc cóż broni tych resztek, co ochrania to miejsce od skalania i zbezczeszczenia? Oto ten jeden krzyż wyniosły, pośrodku stojący, który czuwa nad grobami. Rozpostarł nad nimi ramiona, jakby wszystkich zmarłych brał w swą opiekę i garnął do siebie, i całą świętość tego miejsca osłaniał.

Tak więc ten znak, wielki w swej prostocie, za życia jest człowiekowi pośrednikiem pomiędzy ziemią a niebem. Przez niego posyła swoje prośby i dziękczynienia, u stóp jego składa swoje cierpienia, nędzy i bóle, i przesyła ich pamięć wnukom, a po śmierci czuwa na jego grobem i strzeże cichości jego spoczynku.



Drewniany krzyż przydrożny w Połaziu, gmina Liw. Fot. Wojciech Stańczak.
Źródło: Kapliczki i krzyże przydrożne w Polsce – powiat węgrowski plfotoart.com.